



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



STACJA KOLEI ŻELAZNEJ W JEROZOLIMIE.

W dopełnieniu danej przez nas w poprzednim numerze *Wieczorów* wzmianki o otwarciu kolei żelaznej

w Jerozolimie, podajemy obecnie widok zdjęty z głównej stacji w czasie tej uroczystości.

PRZYGODA Z REKINEM.

Kilkanaście lat temu, ludzie nie byli w stanie przebywać przez dłuższy czas w głębiach oceanu. Bardzo ciekawy i zupełnie różniący się od ziemskiego, świat wodny, był dla nich prawie niedostępny. Nie mogliśmy wcale oglądać w stanie natury, najrozmaitszych tworów zamieszkujących kryształowe otchłanie. Jedna wielka tajemnica osłaniała dno olbrzymich oceanów.

Rzadko tylko jaki zuchwały nurek, gnany żądzą wydobycia drogocenniejszej perły, na chwilę tamując oddech, zdołał przeniknąć do przepaści, chwytając perłową muszlę i uciekał z powrotem na powierzchnię.

Ocean pochłaniał od wieków tysiące okrętów i nie odławał już nigdy swej zdobyczy; szydził sobie z usiłowań ludzi, którzy pragnęli odebrać mu to co zagarnął.

Potężny geniusz człowieka nie dał jednak za wygraną, postanowił on ujarzmić głębię mórz tak samo, jak ich powierzchnię.

Długo, długo nie udawało się wynaleźć sposobu odebrania oceanowi jego skarbów. W końcu jednak wytrwałość przyniosła owoce. Uczni inżynierowie myśląc nad tem zadaniem, zbudowali bardzo dowcipny przyrząd, zwany skafandrem, przy pomocy którego człowiek mógł wreszcie dostać się do nieprzyjaznego sobie żywiołu. Skafander, jestto ciężkie, nieprzemakalne ubranie z dużą banią, w której nurek umieszcza głowę. Powietrze, potrzebne do oddychania dopływa do niej przez długą, kauczukową rurkę, połączoną z pompą, ustawioną na brzegu. Ołowiane, pudowe podeszwy utrzymują człowieka na dnie, nie pozwalają aby woda wyniosła go na powierzchnię.

W przyrządzie tym, nie można coprawda zapuszczać się bardzo głęboko; wiadomo bowiem, że ciśnienie wzrasta bardzo szybko, w miarę tego, jak zapuszczamy się coraz dalej pod powierzchnię; w końcu tamuje oddech i przyspiesza obieg krwi i śmierć przyspiesza.

O każde 9 metrów ciało człowieka dźwiga nową atmosferę. W głębokości zatem 90 metrów ciśnienie owo wynosi już 10 atmosfer.

Jestto prawie najwyższa granica, której nie możemy przekraczać bezkarnie.

Dalej zanurzają się tylko statki podwodne, o których przy sposobności pomówimy kiedyindziej.

Otóż owe skafandry pomogły ludziom do wydzierania żarłocznemu oceanowi jego zdobyczy — nieszczęśliwych okrętów, które zatopione zostały przez rozhukane burzą fale lub w skutek rozbicia się o skały nadbrzeżne.

Dziś statek, znajdujący się o kilkanaście sążni pod wodą, nie jest jeszcze stracony. Nurkowie, odziani w skafandry, przyczepiają doń kilkaset, wypełnionych powietrzem blaszanych naczyń, które, w końcu niby pęcherze, wyciągają go na powierzchnię. Praca to długa i niebezpieczna.

Nurkowie narażeni są podczas niej na napady rozmaitych potworów morskich, od których trudno im się obronić.

Najgroźniejszym wrogiem jest w tym wypadku żarłoczny rekin, prawdziwy wilk morski, który zuchwale atakuje człowieka i stanowi postrach marynarzy kąpiących się i tonących.

Dwa lata temu, w jednym z większych portów francuskich, zatonał skutkiem spotkania się podczas mgły, z innym statkiem, olbrzymi parowiec, wiozący bogaty ładunek kruszcu z Ameryki południowej.

Postanowiono też niezwłocznie, wydobyć go na powierzchnię wody, żeby ocalić zawartość, przedstawiającą milion z górą rubli.

Morze w miejscu, gdzie zaszła katastrofa, miało niespełna 18 metrów głębokości; można więc było prowadzić roboty, przy pomocy skafandrów. Wyznaczono do nich dwudziestu ludzi, zmieniających się co trzy godziny.

Praca, jakkolwiek uciążliwa, odbywała się pędkiem; codziennie przymocowywano kilka puszek blaszanych, które w końcu miały wydzwignąć wielki okręt z wody.

W tydzień jednak po rozpoczęciu robót, zaszła smutna katastrofa, w której utraciło życie dwóch nurków. Przedstawia ją załączona obok rycina, zrobiona podług opisu naoczne go świadka wypadku.

Było to nad samem ranem, kiedy właśnie pierwsza zmiana nurków, w liczbie 6 ludzi spuściła się w skafandrach na dno portu. „Właśnie zakładaliśmy do boku zatopionego okrętu nową puszkę, opowiada jeden z nurków, kiedy nagle ponad naszymi głowami ukazał się jakiś niewyraźny cień. Z początku sądziliśmy, że to łódka rybacka, jakich dużo snuje się zwykle w porcie. Wkrótce jednak cień ów, zbliżając się powoli, przybrał kształty olbrzymiej ryby, która płynęła wprost na nas.

„Towarzysze moi widocznie zaniepokojeni, rzucili się do sznurowej drabinki, prowadzącej na powierzchnię, do krypy, na której ustawiono pompę. Zrobił się popłoch; ja przekonawszy się iż uciec nie zdążę, przyczałem się w kącie pod dudem zatopionego statku, w nadziei, że potwór nie zoczy mnie w tem ukryciu.

Pozostali tylko dwaj majtkowie, którzy zajęci pracą, nie spostrzegli wroga.

Chciałem ich ostrzedz, lecz nie mogłem; głos mój, choć krzyczałem, nie przeniknął przez płynny żywioł do ich uszu. Musiałem więc pozostać świadkiem katastrofy.

Kiedy zagrożeni towarzysze, zoczyli grożące im niebezpieczeństwo, było już zapóźno do ucieczki. Zrozumieli to znać, gdyż porzuciwszy robotę, pochwycili noże i gotowali się do śmiertelnej walki.

Potwór, podpłynął z szybkością błyskawicy i przewróciwszy się na grzbiet, pochwycił w pół jednego z majtków, w pierw, nim ten zdołał zadać mu cios sztyletem.

Towarzysz napadniętego, nie tracąc odwagi, rzucił się na rekina, ujął go za pletwę i pchnął w bok nożem.

Krew ofiary i zabójcy, zafarbowała wodę i w tej czarnej chmurze, znikło wszystko. Widziałem tylko gwałtownie rozbijane miotających się w walce, fale, które o mało co nie wyniosły mnie z ukrycia. Chciałem powstać i biedz na pomoc, lecz rozkołysana woda przewróciła mnie. Po upływie długiej minuty, nastąpiła cisza, czerwona mgła rozproszyła się a oczom moim przedstawił się okropny widok.

Na dnie, trzymając w ręku sztylet, leżał ze zmiażdżoną głową, zduszony nurek, który stanął do walki z potworem. Obok nurzały się w wodzie, zmienione do niepoznania szczątki napadniętego i przeciętego nawpół majtkka. Ciało zabójcy, pchniętego sztyletem, pływało na powierzchni tuż nad moją głową.

W tej chwili uczułem, że się duszę; pompa przestała nagle funkcjonować; ludzie poruszający ją, zaniepokojeni znać, lub przestraszeni widokiem zabitego rekina, porzucili swe stanowisko, zapominając o mnie.

Chwila jeszcze... i straciłem przytomność. Kiedy przyszedłem do zmysłów, ujrzałem się rozebrany ze skafandra i leżałem na pokładzie krypy, obok mnie zaś, przykryte płótnem żaglowem spoczyły śmiertelne szczątki mych nieszczęśliwych towarzyszy.

Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

Uszedłszy z pięćset kroków, stanął Franciszek na pierwszym stopniu krętych schodów, ukrytych w grubości muru. Zdawało mu się, że jest już wreszcie w baszcie, wznoszącej się na środku placu broni. Miał powód mniemać, że tak jest, a jednak te schody nie mogły być głównymi, składa-

ły się bowiem z wążutkich szczebelków wpuszczonych w mury ślup, umieszczony pośrodku ciemnej i ciasnej klatki schodowej.

Cicho i ostrożnie wchodził Franciszek na szczeble, stawiając ucha czy nie usłyszy czasem jakiego szmeru, zdradzającego obecność ludzi. Panowała tu jednak zupełna cisza, połączona z ciemnością tak nieprzejrzaną, że omackiem tylko natrafił Franciszek na drzwi, umieszczone na pierwszym przestanku. Otwierały się one na taras, który okalał basztę na wysokości pierwszego piętra i Franciszek, uchyliwszy je zlekka wsunął się niemi na taras, skąd, w cieniu balustrady ukryty, przyglądał się temu, co się działo na płaskowzgórzu.

Na samej jego krawędzi, tuż pod ciemną sosnowego boru ścianą, widać jeszcze było kilku ludzi, nic jednak nie wskazywało, aby mieli zamiar zbliżyć się do zamczyska. Franciszek, trwając w postanowieniu dogonienia barona zanim tenże umknie wychodzącym na wawóz tunelem, okrążył całe piętro, szukając drzwi drugich. Znalazł je wreszcie, prowadziły na tenże sam, obszerny przestanek, mający kształt korytarzyka, na końcu którego schody zaczynały się znowu pięć w górę ślimakowato, wiodąc na wyższe piętro baszty.

I tu także panowało głuche milczenie; widocznie nikt nie mieszkiał na pierwszym piętrze baszty. Coraz to pewniejszym krokiem szedł więc Franciszek po schodach, zawsze równie ciemnych i tak wąskich, że rozkrzyżowały ramiona, obu rękami dotykał ścian klatki, zajmującej całą wysokość baszty. Co trzydzieści schodów spotykał przestanek, nie mógł wszakże znaleźć żadnych drzwi. Doszedłszy do trzeciego z kolei przestanku, przekonał się, że tu się kończą schody. Doprowadzały one widocznie do mieszkania położonego na najwyższym piętrze baszty, której szczyt wieńczyła platforma, skąd powiewała niegdyś herbowa chorągiew Górców.

W ścianie na lewo, omackiem natrafił Franciszek na drzwi, w których zamku tkwił klucz, od zewnętrznej strony włożony. Przez dziurkę przeciskał się żywy promień światła; Franciszek zajrzał do środka, klucz jednak przeszkadzał mu widzieć dokładnie, zobaczył tylko, że lewa część pokoju rzeźbiście jest oświetloną, podczas gdy lewa pogrążona w cieniu. Przyłożył do drzwi ucho: cisza zupełna... Ostrożnie klucz w zamku obróciwszy, otworzył drzwi i ujrzał się w obszernej komnacie zajmującej całą rozległość najwyższego piętra. Okrągłe jej ściany podierały sklepienie, zbiegające się u szczytu w wielką kamienną rozetę, z której zwieszała się ciężka, kamienna również ozdoba. Grube obicia, staroświeckie kobierce pokrywały ściany, a piękne starożytne sprzęty, sepeły, zydle poręczowe krzesła, police, nadawały komnacie cechę artystyczną. Okna zawieszane były grubemi oponami, przez które nie mógł się przedrzeć na zewnątrz najmniejszy promyczek światła; gruby zaś puszysty kobierzec, na podłodze rozciągnięty, głuszył odgłos kroków.

Urządzenie komnaty dziwacznie nieco wyglądało: przedstawiała się zupełnie inaczej stosownie do tego, z jakiej strony oglądał ją wchodzący, czy od strony oświetlonej, czy od ciemnej.

Na prawo od drzwi, głęb komnaty tonęła w ciemności; na lewo zaś wznosiła się estrada, czarną tkaniną udrapowana. Na powierzchnię estrady padało olśniewająco jasne światło, pochodzące zapewne z jakiegoś aparatu służącego za zbiornik światła, lecz umieszczonego tak, że nie spostrzegał go wchodzący.

O dziesięć stóp od estrady, od której przedzielał je ekran na dwie stopy wysoki, stało starożytne krzesło poręczowe, o niezmiernie wysokim oparciu, tak ekranem otoczone, że znajdowało się w półcieniu; obok krzesła stoliczek, pokryty kobiercem, na stoliku pudełko kształtu prostokątnego, na dwanaście do piętnastu cali długie, na pięć do sześciu szerokie, kamieniami wysadzane, przez podniesione wieko widać było, że w pudełku znajduje się walec metalowy.

Wszedłszy do komnaty spostrzegł Franciszek, że krzesło poręczowe ktoś zajmuje. W samej rzeczy siedziała w niem postać zupełnie nieruchoma, z głową w tył przechyloną i o poręcz wspartą, z zamkniętymi powiekami, z prawą ręką

ciągniętą na stole i dotykającą palcami przedniej ścianki pudełka.

Tą postacią był baron Rudolf Gorc.

Więc dlatego tylko aby, się we śnie pogrążyć chciał baron przepędzić tę noc ostatnią na najwyższym piętrze starej baszty?

Nie! nie mogło to być; co innego mówił Orfanikowi, jak to na własne uszy słyszał Franciszek.

Baron Rudolf sam był zresztą w komnacie a niewątpliwą było rzeczą, że stosując się do otrzymanych rozkazów, towarzyszył jego uciekł już z zamczyska przez tunel.

A Stilla? Czyż nie mówił także baron Rudolf Gorc, że chce ją usłyszeć po raz ostatni zanim tajemnicze zamczysko w gruzy się rozpadnie, wybuchem z posad swych ruszone? Jakiż inny miał powód powracać do tej komnaty, gdzie co wieczór zjawiać się musiała Stilla, żeby go śpiewem swoim zachwycać?

Gdzież jednak znajdowała się Stilla?

Nie widział jej nigdzie Franciszek, nie słyszał jej głosu

Mniejsza zresztą o to, teraz, skoro Rudolf Gorc znajduje się w mocy młodego hrabiego... Potrafi on go zmusić do mówienia. Ale czy w tym stanie podniecenia, w jakim się w tej chwili znajduje, nie rzuci się wpierw na znienawidzonego sobie człowieka, czy po życie jego nie sięgnie?...

Cichutko stąpając, stanął Franciszek tuż za fotelem. Krok tylko uczyni a w rękę mieć może barona. Krew biła mu do głowy, w myślach zamęt panował, podnosił już rękę...

W tem ukazała się Stilla.

Nóż wypadł z ręki Franciszka i utkwiał w puszystym kobiercu.

Stilla stała na środku estrady, powodziła światła obłana, z rozpuszczonymi włosami, z wyciągniętymi ramionami, w białym stroju *Angeliki* w „Orlandzie”, taka, jaką ukazała się Franciszkowi na baszcie zamczyska. Niepodobieństwem było, aby nie widziała Franciszka, nie uczyniła przecież ani jednego ruchu, aby go ku sobie przywołać, nie otworzyła ust, aby do niego przemówić...

Po chwili zaczęła śpiewać! Nie opuszczając swego fotelu, baron Gorc całym ciałem na przód podany, słuchał jej z najwyższym zachwytem. Jak niegdyś, we wszystkich teatrach włoskich, wsłuchiwał się w śpiew artystki, tak i tutaj, w samotnej komnacie, w starożytnym górskim zamczysku, na szczybie baszty, górującej nad lesistą krainą siedmiogrodzką, rozkoszował się głosem wielkiej śpiewaczki.

(d. c. n.)

POLOWANIE.

Za górą, pod lasem, zająca psy gonią,
A młodzież tymczasem zajęta pogonią:
Za strzelby wnet chwyta i na odgłos bieży,
Z wiosennym zapałem, w zimowej odzieży,
Ochota unosi — chłód rzeźwi, weseli,
„Zapewne z nich który szaraka zastrzeli.” —
Tak siostry mówiły — aż młodzież powraca
I głosi wesoło, że próżna ich praca:
Bo strzelcy z pośpiechem wybiegli bez broni;
A jeden z nich tylko co strzelbę miał w dłoni,
I z oka i z ręki nie zwykł chybić strzału;
Lecz serce młodzieńcze, choć pełne zapału,
Śmierć zadać zwierzątku bez wstępu nie mogło,
I zapał — uczucie litości przemogło.

A biedny zajączek znikł z oczu w tej chwili,
I nasi myśliwi z niczem powrócili.

G. P.

SZTUKA CZY RZEMIOSŁO

Z NIEMIECKIEGO.

IV.

NORYMBERGA.

W owych czasach Norymberga była jednym z najwspanialszych, najwięcej kwitnących miast niemieckich. Ulice, dotąd jeszcze pełne pamiątek z epoki średniowiecznej, przedstawiały obraz ożywionego handlu i przemysłu, zajęć którym się oddawali tameczni mieszkańcy. Znakomici mężowie, imiona których czytamy obecnie na marmurowych tablicach cmentarnych, należeli wtedy do grona żyjących, tworząc wiele dzieł wiekopomyńskich w dziedzinie sztuki i umiejętności.

Przed dużym olejnym malowidłem przedstawiającym rajcę miejskiego w czarnym aksamitnym płaszczu i złotym łańcuchu na szyi, stał Albrecht Dürer, wysoki, poważny mężczyzna o szlachetnych, regularnych rysach twarzy, którą okalały długie, na ramiona spadające włosy. Wyraz smutku i rzewnej tęsknoty malował się na jego obliczu. Ściany pracowni pokryte były mnóstwem obrazów po części wykonanych, po części naszkicowanych zaledwie. Na stole pod oknem leżały figurki z drzewa rzeźbione, cyrkle, przybory do pisania i książki, świadcząc o różnorodnych zajęciach człowieka, który celował także w rzeźbiarstwie, matematyce i umiejętności obcych języków. Zajęty pracą Dürer nie słyszał kilkakrotnego stukania do drzwi, które rozwarły się z cicha. Po chwili Hubert wszedł nieśmiało i stanął na progu pracowni, będącej przybytkiem tej sztuki, której pragnął życie swe poświęcić.

Wejście niespodzianego gościa uszło uwadze mistrza, bez chwili wytchnienia przenoszącego farby z palety na obraz; każde dotknięcie pędzla dodawało nowego życia postaci na płótnie widniejącej. Hubert stał długo przy drzwiach, ciekawym wzrokiem rozglądając się w okóło. Z pomiędzy wszystkich obrazów wiszących na ścianach największym zachwytem przejmował go wizerunek Bogarodzicy, której oblicze jaśniało niewypowiedzianą słodyczą. Rzeźby leżące na stole zaciekały go również, zbliżył się i patrzył z zajęciem na mały posążek przedstawiający św. Huberta w postawie klęczącej przed jeleniem, na rogach którego widać było Krzyż Męki Pańskiej. Chcąc przyjrzeć się lepiej temu arcydziełu, Hubert nachylił się, potracił o stół i zrzucił na ziemię leżący na brzegu cyrkiel.

Nagły hałas zwrócił uwagę mistrza, który obejrzał się po za siebie. Przyjaźny uśmiech przemknął po bladej jego twarzy na widok chłopca, który stał oniesmielony mnąc

kapelus w rękę i napróżno szukając słów na usprawiedliwienie swego postępowania.

— Byłem tak zajęty robotą, że nie słyszałem, jakeś wszedł do pracowni — odezwał się Dürer cichym, łagodnym głosem. — Skąd przybywasz mój chłopcze i czego chcesz ode mnie?

Ośmielony dobrocią mistrza Hubert wypowiedział mu pragnienia swe i nadzieje i zakończył błagalną prośbą, czy nie mógłby pozostać w pracowni jako uczeń.

Dürer położył mu rękę na ramieniu i długo wpatrywał się w niego badawczo.

— Czy masz już trochę pojęcia o malarstwie? — zapytał wreszcie.

— Nie miałem dotąd sposobności aby się czegokolwiek nauczyć — odrzekł Hubert — ale od najmłodszych lat zawsze pragnąłem gorąco zostać malarzem.

— Ha! możemy spróbować — rzekł Dürer po chwili namysłu — przekonamy się, czy masz rzeczywisty talent. Ja zaś — dodał ciszej — będę szczęśliwy mając przy swym boku towarzysza, którego młodość i wesołość podniosą mego ducha, ilekroć zniechęcenie mnie ogarnie.

— A więc mogę pozostać i uczyć się tutaj? — zawołał Hubert nie posiadając się z radości. Ale malarz nic na to nie odpowiedział, przesunął ręką po czole, jak gdyby chciał odegnąć przykre myśli i podniósł oczy ku obrazowi Bogarodzicy.

— Czy mogę tu pozostać? — powtórnie zapytał Hubert, Dürer milczał zdając się przysłuchiwać odgłosowi zbliżających się kroków.

Po chwili otworzyły się drzwi w głębi pracowni będącej i na progu stanęła wysoka, piękna kobieta.

— Mam z tobą do pomówienia, Albrechcie — rzekła wyniośle.

— Słucham cię — odrzekł malarz z widocznym przygnębieniem.

— Nie będę przecież mówiła w obecności tego chłopca, który stoi tam przy stole i wpatruje się we mnie z taką nimadrą miną — rzekła pani wskazując ręką na Huberta, który istotnie oczu od niej oderwać nie mógł.

Przyczyną jego zdziwienia było uderzające podobieństwo zachodzące między kobietą stojącą na progu, a obliczem Bogarodzicy. Było to toż samo czoło, też same oczy, też same regularne rysy twarzy, które wychylały się ku niemu z ram obrazu. A jednak pomimo tego podobieństwa jakże różną była kobieta żyjąca od postaci Matki Zbawiciela! Przy bliższym porównaniu niepodobna było nie dostrzedz, że w twarzy jej nie było ani śladu słodyczy, spokoju i łagodności — posiadała ona tylko piękność kształtów zewnętrznych, brak jej było piękności ducha, bez której klasyczne nawet oblicze nie wzbudzi zachwyty i uwielbienia.

— Czy nie zrozumiałeś mnie, Albrechcie? — zawołała podniesionym głosem, szarpiąc gniewnie małą, aksamitną torebkę wiszącą u paska na złotym łańcuszku. — Nie chcę mówić w obec tego chłopca, każ mu się wynosić!

— Pani — nieśmiało odezwał się Hubert — pan mi przyrzekł...

— Co ci przyrzekł mój mąż? — z gniewem przerwała pani Dürer. — On nic nikomu nie przyrzeka, nie naradziwszy się ze mną poprzednio.

— Nie gniewaj się, Agnieszko — spokojnie rzekł malarz — będąc pewnym twego przyzwolenia, przyrzekłem temu chłopcu, że go przyjmę do pracowni. Chciałbym zatrzymać go przy sobie i nauczyć malarstwa.

— Tego by tylko brakowało, ażeby ten przybłąda u nas pozostał! O nie, mój mężu, stanowczo na to nie pozwałam i radzę ci, abyś odstąpił od tego zamiaru. Masz już dosyć uczniów i pomocników, a ja nie myślę wcale pamiętać o jego potrzebach — ze wzrastającym gniewem wołała pani Dürer.

— Uspokój się, Agnieszko — łagodnie przekładał malarz. — Czy zapomniałaś już gorących obietnic przy-





PRZYGODA Z REKINEM.

rzeczeń poprawy, jakiemi skłaniałaś mnie do powrotu do Norymbergi wtedy, gdy zmęczony pożyciem z tobą, opuściłem dom i wyjechałem do brata?

— Mojaż w tem wina — pogardliwym tonem odrzekła pani Dürer — że byleś dość łatwowiernym, aby uwierzyć sło-

wom obrażonej kobiety, której miłość własna głęboko była dotknięta twym postępowaniem. Zresztą możesz zrobić co sam zechcesz — dodała szyderczo — zatrzymaj w pracowni tego chłopca, ale już ja postaram się o to, aby [mu wkrótce odechciało się zaszczytu zostania uczniem Albrechta Dürera

wbrew woli jego małżonki. Wyrzekłszy to raz jeszcze wyniośle spojrzęła na męża i zatrzasnąwszy drzwi wyszła z pracowni.

— Proszę pana — po chwili milczenia nieśmiało odezwał się Hubert — ja stąd odejdę, po tem, co słyszałem, nie mogę pozostać dłużej.

— Niech cię Bóg prowadzi mój chłopcze — z boleścią odrzekł Dürer i odwróciwszy się ukrył twarz w dłoniach. Długie milczenie zaległo pracownię.

— Idź, mój synu! — rzekł wreszcie malarz podnosząc oczy, w których malował się smutek głęboki. — Mógłbym wytrwać w powziętem postanowieniu i zatrzymać cię u siebie, ale nie chcę stać się przyczyną twego nieszczęścia. Duch niezgody który zatrął me życie, czarnemi barwy powłóklby i twoją młodość. Niech cię Bóg prowadzi i pozwoi wytrwać w twoich zamiarach. Co do mnie, mam nadzieję, że wkrótce znajdę w mogile spokój, którego nie dano mi zaznać na ziemi.

Ze łzami w oczach Hubert przycisnął do ust rękę malarza, słowa nie wyrzekł, bo wzruszenie tamowało mu mowę.

— Zwróć się do Piotra Vischera — rzekł Dürer po chwili namysłu. — Odlewanie metali jest sztuką niemniej szlachetną od malarstwa, ale jeżeli on zechce cię przyjąć pomimo szczupłej i wątłej budowy twego ciała, możesz być spokojnym o przyszłość.

Podziękowawszy serdecznie za dobrą radę, Hubert opuścił pracownię nieszczęśliwego malarza, twórcy tylu pięknych i wzniosłych arcydzieł.

W godzinę potem młody wędrowiec wszedł do odlewni pełnej gwaru i ruchu. Jasny ogień płonął w dużym piecu służącym do przetapiania metali; kilku robotników nieustannie dorzucało dREW do ognia, inni wylewali roztopiony płyn, w formy, inni znów wyłabiali dłutkami duży posąg stojący na środku pracowni.

Hubert podszedł do niemłodego już robotnika, z zakasnanymi rękawami od koszuli i w dużym skórzanym fartuchu, i zapytał go, gdzie może znaleźć pana Piotra Vischera.

— To ja jestem — odparł zagadnięty, odkładając duży młot, który trzymał w ręku.

(d. c. n.)

OMYŁKA.

KOMEDYJKA W 2-CH AKTACH OFIAROWANA STASIOWI F.

OSOBY.

MARYNIA	}	Rodzeństwo.
ALINKA		
ANUSIA		
ANTOŚ		
TADZIO	}	Koledzy Antosia.
MIECIO		

Rzecz dzieje się w Warszawie.

AKT I.

(Scena przedstawia pokój, w którym trzy dziewczynki siedzą z robotkami).

SCENA I.

ALINKA, MARYSIA, ANUSIA.

(Za sceną daje się słyszeć gwałtowne dzwonicie, wpada Antos w czapce, szyneli, z tornistrem na plecach, rzuca tornister na łóżko, czapkę na stół, stukając nią wazonik, za nim wchodzi Tadzio i wita się z dziewczynkami)

ANUSIA (zrywa się z łóżka i podbiega do stłuczonego wazonika, załamując rękę). Mój Boże, już po moim wazoniku! A tak się z niego cieszyłam! (płacze).

ANTOŚ (zakłopotany). Nie gniewaj się, siostrzyczko (całuje ją) dam ci za to słodki przycisk.

ANUSIA (przestając płakać). Ten od dziadzi? dobrze! wolę nawet przycisk niż wazonik.

ANTOŚ. Albo wiesz co, dam ci lepiej mój żółty piórnik, on jest jeszcze bardzo ładny.

ANUSIA (z płaczem). Tak, już odbierasz. Kiedy to z tobą trudno wytrzymać, wszystko nam psujesz i tłuczesz.

ANTOŚ. Kiedyś taka beksa, to nic nie dostaniesz i kwita.

TADZIO (śmiejąc się). Zawsze jednakowo kończą się twoje darowizny.

MARYNIA. Ale cóż to się stało, że pan Antoni wpadł jak bomba do pokoju o tak niezwyklej porze? Wiesz przecie, jakich starań dokłada mama, by ci dać jaknajstarsze wykształcenie, a ty kompletnie jakbyś jej na złość chciał robić. W przeszłym tygodniu przez dwa dni udawałeś chorego, dziś uciekłeś z lekcyi, a przytem nabrałeś tego dziwnego obejścia, który tak martwi mamę.

ANTOŚ. Już cię tylko proszę, bez peror! Łatwo ci tu siedzieć i udawać mądrą. W przeszłym tygodniu musiałem przez dwa dni zostać w domu, bo by mię profesor na kawały rozdarł, chciałem więc przetrzymać pierwszą jego furię.

MARYNIA. Mógłbyś mówić z większem uszanowaniem o twoim profesorze.

ALINKA. Ach, opowiedz, Antosiu, coście znów zrobili! Ja tak lubię słuchać opowiadań o waszych szkolnych figlach.

ANUSIA. Chciałabym być chłopcem, żeby tak dokazywać w szkole, jak Antos. Powiedz, coś zrobił temu panu profesorowi...

ANTOŚ. Co mu zrobiłem? dobra sobie!

TADZIO. Jakby jemu co zrobić można.

MARYNIA. Już tylko nie udawajcie niewiniątek, bo sami wiecie najlepiej, że pan Dobrowolski odznacza się wielką sprawiedliwością i bez przyczyny nie prześladuje uczniów.

ANTOŚ. Ha! ha! ha! jaka ona paradna! bez przyczyny! To też to najgorsze, że on zawsze musi tę przyczynę znaleźć. Powiadam ci, że gdybyś się pod ziemię schowała, to on jeszcze się dowie, coś tam robiła.

MARYNIA. To bardzo dobrze, przynajmniej niejednego od złego powstrzyma.

TADZIO. Nie tak to znów łatwo, jak myślisz.

ANTOŚ. Powiadam wam, że nie ma tygodnia, żebyśmy z Tadzkiem nie wyprawili jakiej szopki.

TADZIO. Pamiętasz, jakieśmy to francuzowi te muchy na lekcyi puścili (śmieją się).

ANTOŚ. To był wyborny „kawał”.

MARYNIA. Antosiu, nie używaj tych wyrażeń, wiesz przecie, jak się mama za nie gniewa.

ANTOŚ. Ha, trudna rada, ale mówmy lepiej o muchach, otóż, nałapaliśmy ich, a potem poprzylepialiśmy im paski kolorowej bibułki na grzbietach i puściliśmy je na klasę w czasie lekcyi francuza.

ALINKA (śmiejąc się). To musiało być zabawne, jak muchy fruwały z tymi kolorowymi paskami.

ANTOŚ. Powiadam wam, że można było boki zrywać, patrząc na zdziwioną minę francuza.

TADZIO. Ale musisz przyznać, że i inni dobrze grali swoją rolę. Witek np. zerwał się z ławy i wrzeszczy: panie profesorze, co to jest? o jej! leci na mnie! siada mi na kaciecie...

TADZIO. Ale Francuz póty nic nie rozumiał, póki muchy były zdaleka, ale gdy mu jedna usiadła na katedrze i przypatrzył się jej zbliżona, krzyknął „silence” i dalej chustką wyperćzać te niezwykłe owady.

ALINKA. A na was się za to nie gniewał?

ANTOŚ. Ale poczekaj, bo to jeszcze nie koniec. Jak francuz wyjął chustkę z kieszeni, uczniowie też, i cała klasa znalazła się na środku, machając chustkami i wołając: a sio! a sio! Taki się gwar zrobił, że pr. Dobrowolski wpadł do klasy i możecie sobie wyobrazić gniew jego, gdy się dowiedział, co się stało.

ANUSIA. Pewno miałeś za to karę?

ANTOŚ. Na szczęście udało mi się tym razem, skazano mię tylko na sześć godzin kozy.

MARYNIA. Dla czegoś ciągle narażasz się na kary, zamiast użyć wolnego czasu na jaką rozrywkę, lub przeczytać co pożytecznego!

ANTOŚ. Maryniu, zlituj się, schowaj te książki, bo mię sam widok ich za dziesiątą granicę wystraszy. Kontent, że się wyrwałem z klasy, wziąłem aż dryndę, by się jaknajprędzej na swobodę dostać, a ona mię lekturą częstuje!

MARYNIA. Ale, ale. Zapomniałam ci powiedzieć, że od poniedziałku będziesz miał towarzysza nauki i zabawy. Mama dawno pragnęła wziąć do domu jakiego poczciwego chłopca, któryby cię zachęcał przykładem do nauki, udała się więc z prośbą do pana Dobrowolskiego i ten jej polecił Miecicia, który jest podobno wzorem całej szkoły.

ANTOŚ I TADZIO (razem). Jakto, jego?

MARYNIA. O ile słyszałam, jest to bardzo poczciwy chłopiec, który nietylko, że się świetnie uczy, ale zarabia jeszcze na książki robieniem pudełek do apteki.

TADZIO. Tak bo...

ANTOŚ. W szkole go nie lubią bo się domyślają, że skarży na drugich.

MARYNIA. Radzę ci nie odzywać się z tem przy mamie, bo napewno będziesz połajany. Inspektor polecił Miecicia jako wzór pilności i charakteru, a mama na jego zdaniu polega.

(zasłona spada).

AKT II.

SCENA I.

MIECIO I ANTOŚ.

(Pokój do nauki, na środku stoi stół, przy którym Miecicio pisze, przez ten czas Antoś wygląda przez okno, podparty na łokciach).

MIECIO. Antosiu, czy napisałeś już ćwiczenie? Pamiętaj, że pan Czarnecki koniecznie już jutro kazał oddać kajeta.

ANTOŚ (z niechęcią). To go sobie oddaj! Nie jestem lizusem, żebym się chciał nad klasę wywyższać.

MIECIO. Ależ, Antosiu, ręczę ci, że wszyscy już jutro kajeta złożą i znów będziesz karany, a wiesz, jak twoja mama martwi się każdym złym stopniem.

ANTOŚ (z niecierpliwością). Tylko cię proszę, nie opiekuj się tak mną (na stronie). On sobie wyobraża, że jest moim nauczycielem. (głośno). Jeżeli chcesz, leć zaraz oddać kajet a nie zapomnij zraportować co o mnie.

SCENA II.

Ciż bez MIECIA.

ANTOŚ (sam). A to mię mama urządziła, nie ma co mówić. Będzie on teraz ciągle na mnie skarżył. Gdybym go się mógł pozbyć jakim sposobem, dałbym połowę życia c o najmniej. Dawniej taki byłem swobodny! od dwóch miesięcy gdzie tylko się ruszę, Mieczek jak cień jest przy mnie. Już go teraz mama na wizyty nawet zabiera, bo powiada, że jest spokojniejsza o mnie (chodzi). A co mię najwięcej gniewa, to ta Marynia, która go jak coś wyższego traktuje.

SCENA III.

Ciż I TADZIO

TADZIO (zagląda przez uchylone drzwi). Sam jesteś?

ANTOŚ. Sam. Bo co? Czy uciekasz przed kim, że się skradasz jak kot. No chodź! nie ma nikogo.

TADZIO (zdejmując czapkę). Bałem się, czy tu nie zastałę twego Argusa.

ANTOŚ. Polazł gdzieś sobie, na szczęście. Powiadam ci, że życie mi niemiłe odkąd on jest u nas. Mama ciągle mi go za wzór stawia, a on jak może, tak się przylizuje (chodzi). Z początku jeszcze przynajmniej miałem wolne święta, szczególnie, gdy goście przyszli, bo nie chciałem przychodzić do salonu, ale teraz tak się stawia, że przeszłej niedzieli zaprosił Alinkę do polki, ale mu nie pozwoliłem tańczyć.

TADZIO. W jaki sposób?

ANTOŚ. Powiedziałem mu, że go mama wzięła do mego towarzystwa, a sióstr nie ma obowiązku bawić. Powiadam ci, poczerwieniał jak burak, ale w tej chwili wyniósł się z salonu.

TADZIO. A toś dobrze zrobił. Nie można pozwolić, żeby się tak pierwszy lepszy u nas rozbijał.

SCENA IV.

Ciż, ALINKA I ANUSIA.

ALINKA. Można?

ANTOŚ. Proszę was, siostrzyczki, wchodźcie śmiało, nikogo niema.

ALINKA. Widziałam, jak ten Miecicio wychodził, więc prędko przyszliśmy z Anusią, bo nam Tadzio obiecał coś o nim powiedzieć.

TADZIO (głosem niższym). Właśnie przyszedłem was ostrzedz... dowiedziałem się, że Mieczek wchodził do mieszkania pr. Dobrowolskiego pewno ze skargami na nas.

ALINKA I ANUSIA. Czy naprawdę?

ANTOŚ. Dopiero mi powiedział nowinę. Dawno już wiem o tem i strzegę się go na każdym kroku.

TADZIO. Tak, ale to był tylko nasz domysł, a teraz mówił mi stróż napewno, że codzień go widzi, jak się skrada pod siedemnasty numer.

ALINKA. Ach, jaki on niegodziwy! Trzeba to koniecznie mamie powiedzieć.

ANUSIA. Kiedy tak, to i ja będę dla niego niegrzeczna. Dotąd mi go żal było, bo myślałam sobie: a może to nieprawda.

TADZIO. Co on tam sobie robi z waszej niegrzeczności, trzeba go koniecznie złapać na tych skargach.

ANTOŚ. Tak, ale w jak sposób?

TADZIO. Właśnie przyszedłem tu po to, by się z wami naradzić. Dowiedziałem się, że Mieczek wymyka się codzień wieczorem, podobno w największe upały bierze swój długi szynel i okrywa się nim, żeby go nikt nie poznał.

ALINKA. Prawda, prawda! i ja go raz widziałem, jak szedł otulony płaszczem.

ANUSIA. A ja go spotkałam na ulicy. Wyszłyśmy z mamą na miasto, patrzą, idzie jakiś chłopiec i chowa coś pod szynielem, taki mi się wydał podobny do Mieczka, że zaczęłam mu się przypatrywać, a on się schował do bramy.

ANTOŚ. Mówisz, że coś chował. Co to być mogło?

ALINKA. Może on nasze rzeczy wynosi. Mama gniewa się na nas, że jesteśmy nieporządne, a nam od jakiegoś czasu ciągle coś ginie.

TADZIO. Ale my tu gawędzimy, zamiast zabrać się do dzieła. Już się zaczyna ściemniać, trzeba się wybrać na czaty. Chodź, Antoś, wypatrzmy panicza.

ANTOŚ. Trzeba zawołać więcej kolegów. Porwiemy go i przyciśniemy tutaj.

ALINKA. Zawołajcie lepiej Wojciecha. On też nie lubi Mieczka, i chętnie wam pomoże.

SCENA V.

Ciż bez ANTOSIA I TADZIA.

ANUSIA *(stoi w oknie)*. Czy oni go aby złapią.

ALINKA. Może się czego domyśla i nie pójdzie tam dziś wcale.

ANUSIA. A jeżeli to nieprawda, że on na was skarży?

ALINKA. Ale co znowu. Powiedz, poco by chodził do profesora? Mama się martwi, że Antoś ma coraz gorsze stopnie, teraz się wszystko wyda dlaczego.

ANUSIA. Patrzaj: idzie, idzie...

SCENA VI.

Ciż I MARYNIA.

MARYNIA. Kogoż tak upatrujecie? *(obydwie dziewczynki odskakują od okna)*.

ALINKA *(zmięszana)*. Nic! Tylko takie prześliczne konie, żeśmy im się chciały przypatrzeć.

MARYNIA. Widzę, że nie mówicie prawdy, chociaż nie wiem dlaczego. Chodźcie się przebrać, bo niedługo mamy iść na spacer.

ANUSIA. Ach, jeszcze tylko chwileczkę.

ALINKA. Zostań z nami, Maryniu, dowiesz się bardzo ważnej tajemnicy.

MARYNIA. Jakiej tajemnicy? Nie rozumiem.

(słychać krzyki za sceną).

SCENA VII.

(Ciż, Antoś i Tadzio ciągną Mieczka, który im się wyrzywa i chowa coś starannie pod płaszczem).

ANTOŚ. Mamy cię nareszcie. Zobaczymy, co mama na to powie, gdy się dowie o wszystkim.

MIECIO. Puść mię, Antosiu! ja nic złego nie zrobiłem.

TADZIO. Pokaż, co trzymasz pod pachą! Nie chciałem się z tobą szamotać na ulicy, ale teraz musisz mi pokazać, co to takiego.

MIECIO *(zasmucony)*. To... to... to... Kiedy wam powiedzieć nie mogę.

MARYNIA. Co znaczą te komedye?

ANTOŚ. Wyobraź sobie, złapałem go jak leciał na nas skarżyć.

MARYNIA. Antosiu, zastanów się co mówisz.

TADZIO. Niech się zaprze, jeżeli śmie jeszcze. Złapałszy go, jak chyłkiem wychodził z pod 17 numeru.

MARYNIA. Cóż w tem dziwnego, tam mieszka jego matka.

ALINKA, ANUSIA, TADZIO I ANTOŚ *(razem)*. Matka?...

ANTOŚ. A to *(wskazując na ukryte zawiniątko)* co to znaczy?

MIECIO *(wyjmuje gliniany dzbanek)*. To... to dzbanek... Matka moja leży już od roku, a że niema służącej, tylko mieszka z dziesięcioletnią siostrzyczką, chodzę tam codziennie sprzątnąć pokój i przynieść wody z Saskiego ogrodu, bo tam podobno jest najlepsza. Bałem się, żebyście nie wyśmiewali mej matki, że jest biedna, więc kryłem się z tem co robię. *(dzieci w czasie całego opowiadania obcierają sobie łzy z oczu)*.

ANTOŚ *(zawstydzony)*. A myśmy cię tak niegodziwie posądzili. Przebacz nam, Mieciu, jeżeli możesz *(rzuca mu się na szyję)*.

ALINKA *(wybuchając płaczem)*. Ty jesteś taki dobry dla swej mamy i siostrzyczki, a myśmy ci tak dokuczali.

ANUSIA. Będę prosiła mamusi, żeby się twoja siostrzyczka razem z nami uczyła i będę ją kochała jak Marynię i Alinkę *(Tadzio przez cały ten czas stoi na boku ze spuszczoną głową, teraz podchodzi do Miecia, wyciągając obydwie ręce)*. Zapomnij wszystko co przecierpiał od nas. Przyznaję, że byłem głównym winowajcą, to też postaram się wszystko złe, com ci wyrządził, naprawić.

MARYNIA. Nie rozumiem, jakim sposobem mogła powstać wśród was bajka o skargach i dlaczego posądziliście tego pocziwego chłopca.

MIECIO. Pewno dlatego, że nie chciałem się łączyć z kolegami, gdy chcieli komu spłatać złośliwego figla. Inspektor przyjął mię darmo do szkoły i zapowiedział, że tylko za dobrą naukę i wzorowe sprawowanie mogę być nadal od wpisu uwolniony, więc dokładałem wszelkich starań, by na to dobrodziejstwo zasłużyć.

MARYNIA. Widzisz, Antosiu, jak wielką popełniliście omyłkę.

ANTOŚ. To też wstydę się tego, a nadal postaram się we wszystkim Miecia naśladować, bo czuję jego wyższość nad sobą.

(Zastona spada).

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TRĘŚC: Stacya kolei żelaznej w Jerozolimie (z drzew.) — Przygoda z rekinem (z drzew.) — Tajemniczy zamek. — Polowanie, wiersz — Sztuka czy rzemiosło, z niemieckiego. — Omyłka, komedyjka w 2-eh aktach. — Dodatek: W aksamitnej szkatułce (z drzew.) — Jeleń, wiersz p. Ewę Maryę. — Przygody Iskierki, Perelki i Brylancika. — Łanigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W krainie Gwebków.

WIECZORY RODZINNE.

JELEŃ.



W strumieniu, pijąc wo-
[dy czyste,
Jeleń przeglądał się
[z radością;
Jak piękne, rzekł, mam
[rozłożyste,
Wzniesione ponad czo-
[łem wysoko,
Przepyszne rogi!
Postać wysmukłą, ogni-
[ste oko,
Tylko... ze smutkiem
[ogromnym widzę

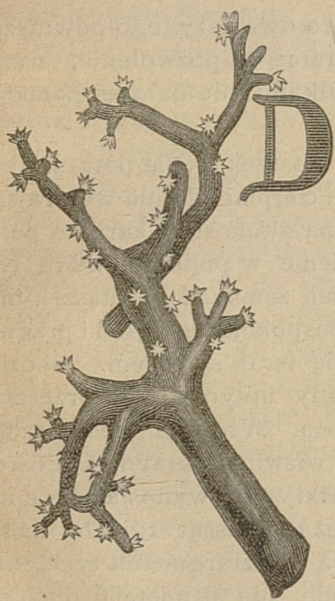
— Aż nawet mówić o tem się wstydzę,
Tylko za cienkie nogi.
Cóż stąd, że wielką słyną rączością?
Nie mogę patrzeć na nie!

Raptem się tuż odzywa szczekanie,
Hałas, trąbienie, nawoływanie;
Jeleń w skok! jak wiatr chyżo po lesie
Strach go w rozpędzie szalonym niesie
Przez rowy, kłody!
Już, już, bez szkody,
Zbiega przed głośną w dali psią zgrają,
Siły nóg rączych ocalić mają,
Gdy, uwikławszy rogi w gęstwinie,
Zwierz obskoczony
I ugodzony
Postrzałem, ginie!

Cenimy rzeczy gruntowne mało,
Z pozorych szukając chluby,
Lecz to, co świetnem nieraz się zdało
Prowadzi nas do zguby.

Ewa Marya.

W AKSAMITNEJ SZKATULCE.



o obszernej sypialni
światło księżycy wpada
przez okna zasłonięte
roletami. W pokoju nie-
ma nikogo a jednak w
jednym rogu jakiś szmer
słyszeć się daje. Stoi tam
gotowalnia a na niej pię-
kna aksamitna szkatułka,
w której pani domu
chowa swoje klejnoty.
W tej to właśnie szka-
tułce słychać dziwne
szmery i dźwięki.

— Skądże pani przy-
była? — pyta duży czer-
wony koral, mający kształt gałązki.

Po drugiej jego
stronie jubiler przymocował złotą szpilkę, żeby koral
mógł służyć za broszkę.

— Przyjechałam z Persyi — odpowiada prześliczna
perła oprawna w kolczyk. — A pan czy także pochodzisz
z Azji czy też jesteś europejczykiem?

— Nie — z uśmiechem mówi czerwony koral. —
Jestem afrykaninem, wyłowiono mnie na wybrzeżach
kraju zwanego Algierem.

— A my Korsykanie jesteśmy — wtrącają małe
koraliki podobne do igiełek i nawleczone na jedwabny
sznurek.

— My znowu przybyliśmy z Francyi — dorzucają
kuliste, jak groch, korale, także na sznurek nawleczone.

— A któż jest ten wasz czarny sąsiad, który tak
poważnie nam się przygląda?

Krzyżyk z czarnego koralu nie raczył na to odpo-
wiedzieć. Spojrzał gniewnie na gadatliwą perełkę i usu-
nął się w głąb szkatułki.

— To nasz dziaduś, najstarszy z pośród nas —
uprzejmie odpowiada Korsykanin.

— Przepraszam was za moją ciekawość — tłóma-
czy się perła. — Nie dziwcie mi się, proszę. Przez całe
życie zamknięta w skorupie nic nie widziałam i nie mo-
głam zawiązać żadnych znajomości. Ot i teraz nie rozu-
miem, dlaczego jedne z was są podobne do gałązek, inne
wyglądają jak kulki, inne znów są krótkie i proste jak
igiełki. Czy nie wszyscy jednakowo rośniecie?

— Niemądra — mruknął pod nosem czarny koral.

— Zaraz ci to wytłómaczę, kochana sąsiadko — od-
parł uprzejmie czerwony Afrykanin. — Dopóki żyjemy
swobodnie w morzu, wyglądamy zawsze jak rozgałęzio-
ny krzak, mający niekiedy więcej niż stopę wysokości.
Ciało nasze jest twarde; dotknij się mnie a sama się
o tem przekonasz. Na zewnątrz pokrywa nas skóra ga-
laretowata, koloru pomarańczowego. Czy widzisz na
mnie ten maleńki wzgórek? Cały krzak koralowy po-
kryty jest mnóstwem takich wzgórków i gałązek,
a w nich to mieszkają panowie nasi. Są to małe zwie-
rzątka, które nazywają się także koralami. Każde z nich
ma 8 ramion. One są panami krzaku; my służymy im
tylko za mieszkanie. W każdej gałązce siedzi pan koral,
ramiona tylko wysuwa i tak czatuje na zdobycz. Gdy lu-
dzie wydobędą nas z wody, galaretowa skóra ta wysycha
na powietrzu i odpada, panowie nasi zamierają, my tyl-

ko zostajemy. Ten czarny mój sąsiad, to nasz dziadek. Przez długie, długie lata leżeć musiał na dnie wody w szlamie i dlatego stał się taki czarny.

— No, teraz się już nie dziwię, że was jest tyle w tej szkatułce. Jeżeli rośniecie dużemi krzakami, to dosyć zapuścić rękę w wodę, a można sobie odłamać kawałek krzaka — pogardliwie odpowiedziała perła.

Szmer niezadowolenia rozległ się we wnętrzu szkatułki. Czarny koral mruczał coraz głośniejsze, obrażony lekceważącymi słowami sąsiadki.

— Cicho, bracia — odezwał się poważny Afrykanin — postaram się wytłómaczyć pani perle, że nie jesteście tak pospolitemi jak jej się zdaje istotami. Nieraz po sto łodzi rybackich wypływa na morze aby nas łowić. Rybacy zapuszczają w wodę duże sieci przymocowane do dwóch drągów drewnianych, na krzyż położonych; krzyż ten przesuwać się pod wodą, obłamuje kawałki naszych gałęzi, które wpadają do sieci. Czasami ludzie ci ciężko się napracują a wyciągną niewiele i to maleńkie kawałki. Mylisz się więc kochana sąsiadko, myśląc, że wydobyć nas jest rzeczą bardzo łatwą.

Potem ludzie szlifują nas i wtedy nabieramy większej wartości. Mniejsze gałązki lub odłamy pnia, krajają na równe kawałki albo też nadają im kształt kulek. Potem nawlekają nas na sznurki, a czasami oprawiają w złoto. Widocznie podobamy się ludziom, bo posyłają nas do rozmaitych odległych krain, a słyszałem, że bogaci Arabowie zdobią nami nawet ciała umarłych. Pamiętam, że po wydobyciu z morza, leżałem przez kilka miesięcy w szafie obok jakiejś uczonej książki. Nie mam wprawdzie dobrej pamięci, pamiętam przecież jak mi opowiadała, że kilogram (2 i pół funta) pięknych różowych koralików kosztuje około 250 rs.

— Ho! ho! za nas ludzie płacą jeszcze drożej! — z dumą wtrąciła perła.

— Ja też nie chwalebę się naszą wartością — odpowiedział czerwony koral. — To nie nasza zasługa. Bez porównania więcej dumny jestem z tego, że należymy do istot bardzo pracowitych i wytrwałych. Każde pokolenie prowadzi dalej pracę rozpoczętą przez poprzedników, powiększa i dalej buduje krzak, tak, że nieraz tworzymy całe drzewa wystające aż nad powierzchnię wody. W załamach naszych gałęzi gromadzi się piasek, drobne muszelki, odłamki innych pni koralowych, które twardnieją jak skała i tak powstają całe wysepki koralowe. Niekiedy wyspy nasze tworzą jakby wianuszek nad powierzchnią wody. Czasem znów wiatr przynosi nasiona różnych roślin i w miejscu gdzie dawniej nie było nic oprócz fał morskich, tworzy się po wielu latach wysępka koralowa, pokryta najbujniejszą roślinnością. Najwięcej takich wysp koralowych spotkać można na oceanie Indyjskim i Spokojnym.

Widzisz więc, pani sąsiadko, że zasługujemy na szacunek, głównie za to, że umiemy pracować cierpliwie i wytrwale.

— Tak! tak! Afrykanin prawdę powiada! — zawołała chórem inne koraliki.

Tylko perła milczała, rozmyślając nad wszystkim, co słyszała przed chwilą.

Przygody Iskierki, Perełki i Brylancika.

(Dalszy ciąg).

— Nakarmię go wieczorem — powiedziała sobie. — Mama gniewałaby się, gdyby musiała czekać teraz na mnie.

Przez całe poobiedzie Helenka bawiła się wesoło z przyjaciółkami i ani na chwilę nie pomyślała o szczygiełku.

A tymczasem biedny i spragniony ptaszek przeszukiwał z prątką na prątek. Służąca sprzątając pokój rano nie spojrzała na klatkę i nie zauważyła, że ptaszek nie ma świeżej wody ani nasienia. Biedny szczygiełek na próżno nachylał główkę, aby zaspokoić pragnienie choć kilku kroplami wody, pozostałej na dnie miseczki; na próżno zbierał skrzętnie ziarenka, które tu i owdzie leżały jeszcze porozrzucane po klatce, głód i pragnienie dokuczały mu coraz silniej.

Nazajutrz rano Helenka otworzywszy oczy przypomniała sobie, że nie dotrzymała słowa danego bratu.

— Trzebaby wstać i pójść nakarmić szczygiełka — pomyślała, ale oczy kleiły jej się jeszcze. Nie śpieszyła się więc z wstawaniem, choć bona przypominała jej ciągle, że czas ubierać się, a nawet o mało co nie spóźniła się na śniadanie.

— Czy pamiętasz Helenko — zapytała ją matka — że dziś są urodziny Maryni? Możesz pójść do niej i zabrać do dwunastej.

Nie trzeba było Helence dwa razy tego powtarzać. Uradowana podziękowała matce za pozwolenie, a myśl o nowej zabawie z przyjaciółkami nie dała jej pamiętać o szczygiełku.

Biedny, nieszczęśliwy ptaszek! Nie potrafiłabym opisać wam, jak się męczył i cierpiał od dnia wczorajszego. Niedaleko od klatki na oknie stała karafka pełna wody, na stoliku było nasienie w pudełku, które Stefanek wyjeżdżając zapomniał zamknąć... ptaszek miał przed oczyma to, co mogło zaspokoić jego głód i pragnienie... a tymczasem czuł się teraz słabszym. Godzina mijająca za godziną, dzień cały upłynął, noc przeszła... a nikt nie zjawiał się z pomocą. Wreszcie biedny szczygiełek zebrawszy resztki sił rozwinął skrzydełka, całym ciałkiem uderzył o druty klatki żeby wydostać się z niewoli... i padł nieżywy. Ileż to ptaszek zginęło już tak marnie skutkiem niedbalstwa i roztargnienia tych, którzy odebrawszy im swobodę, nie pamiętają o ich potrzebach!

Helenka bardzo wesoło spędziła rano z przyjaciółkami. Chciano nawet zatrzymać ją na obiad, ale ona lękając się gniewu matki, powróciła do domu na oznaczoną godzinę.

Parę razy podczas zabawy przypomniała sobie wprawdzie o szczygiełku Stefanka, ale starała się usunąć tę myśl... Nie porzuciła przecież zabawy i nie wróciła wcześniej do domu dlatego tylko, że ptaszek nie miał co jeść... A jednak nie miała widocznie czystego sumienia, bo serduszek jej biło bardzo niespokojnie, gdy biegła po schodach do pokoju brata.

— Co to! klatka pusta! — zawołała spojrzawszy na okno.

O nie! Na dnie klatki leżała biedna ptaszyna z zamglonemi oczyma, z rozpostartemi skrzydełkami.

Helenka wsunęła rękę przez druty. Może uda jej się jeszcze ocucić szczygiełka... Niestety! wszystko na próżno! ptaszek był już sztywny i zimny! Teraz dopiero dziewczynka wybuchnęła rzewnym płaczem. Z całego serca żal jej było biednego szczygiełka. Wprawdzie niejedyn już z ulubieńców Helenki o mało nie przyplącił życiem braku troskliwości, zawsze jednak ktoś z domowników ją wyręczał i wybawiał biedne zwierzę od śmierci głodowej, dziś poraz pierwszy zrozumiała jak okropne bywają skutki niedbalstwa i roztrzepania. Lękała się także gniewu Stefanka... on jej nigdy tego nie daruje, bo tak był szczęśliwy z posiadania szczygiełka, którego dostał na wiązanie od jednego z kolegów.

Helenka długo, długo uspokoić się nie mogła. Wreszcie usłyszawszy, że ją wołają na obiad, poszła do jadalnego pokoju. Zaledwie weszła, Tadzio i Różia zauważyli zaraz, że ma czerwone oczy. a gdy z płaczem opowiedziała im wszystko, Tadzio zawołał z oburzeniem:

— Jesteś szkaradna, niegodziwa dziewczyna!

Różia powtórzyła jak echo słowa braciszka. W tej chwili weszła matka, a dowiedziawszy się o tem, co zaszło, surowo zgromiła Helenkę.

Obiad cały zeszedł w milczeniu. Dzieci były smutne, Helenka spłakana nic do ust wziąć nie mogła. Żal jej było biednego ptaszka, ale więcej jeszcze lękała się tego, co powie Stefanek.

We dwa dni potem Stefan powrócił. Zobaczywszy bryczkę zajeżdżającą przed ganek, Helenka uciekła do ogrodu. Tadzio i Różia byli z boną na spacerze, Stefanek nie zobaczył więc nikogo z rodzeństwa i o niczem nie wiedząc poszedł wprost do swego pokoju. Stanąwszy na progu natychmiast rzucił okiem na okno. Klatka wisiała tam wprawdzie ale... pusta. Pusta! pusta! krew uderzyła mu do głowy, łzy cisnęły się do oczu, wstydził się jednak rozplakać jak małe dziecko. Powracał do domu z jak najlepszemi zamiarami: przyrzekał sobie, że będzie żył w zgodzie z rodzeństwem, że przestanie im się sprzeciwiać, że musi stać się podobnym do wujaszka Henryka, którego wszyscy kochali.

Tak! nigdy jeszcze Stefanek nie postanawiał tak szczerze poprawić się ze swych wad, aż oto spotkała go niespodzianie taka przykrość... i znowu nie był zdolny opanować gniewu. O! to nie do darowania! Helenka musi być ukaraną!

Tymczasem przestraszona dziewczynka schroniła się do najdalszej alei dotykającej już parkanu. Dotąd jednak nie mogła ochłonąć z przestachu. „Czy Stefanek był już w swoim pokoju — myślała z niepokojem. — Czy zauważył, że ptaszka nie ma w klatce? .. Co ja mu powiem! co ja mu powiem!” Łzy strumieniem płynęły jej po twarzy. Przez ostatnie dwa dni czuła się bardzo nieszczęśliwą. Ojciec był dla niej surowszym niż zwykle, matka ani razu jej nie popieściła, a Tadzio i Różia wyrzucali jej ciągle, że zabiła szczygiełka. Postanowiła odkładać piemiądze, które od czasu do czasu dostawała od

rodziców i kupić bratu innego ptaszka. Ale czy on będzie z tego zadowolony?

— „Co ja mu powiem!... Co ja mu powiem! — powtarzała ciągle, szlochając rzewnie.

Nagle usłyszała ciche miauczenie. To Perełka siedzi pod drzewem. Helenka czuła się teraz tak opuszczoną i nieszczęśliwą, że nawet towarzystwo zwierzęcia było dla niej pociechą. Wzięła Perełkę na rękę i głaskać ją zaczęła, a kotka odzwyczajona od wszelkich pieśzot, mruzczała głośno, chcąc tym sposobem okazać swą wdzięczność.

Nagle Helenka zdrząła. To Stefan ją woła po imieniu! Po chwili usłyszała odgłos szybko zbliżających się kroków i Stefanek ukazał się na zakręcie alei.

— Ha! znalazłem cię wreszcie! — wołał biegnąc ku niej.

Helenka nie próbowała już uciekać.

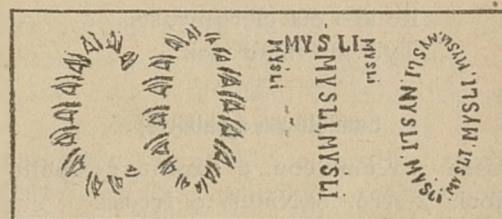
— Przepraszam cię, braciszku — rzekła, gdy chłopiec był już blisko — przepraszam cię bardzo, ale zapomniałam o twoim ptaszku.

— Dlaczego o nim zapomniałaś? — krzyczał Stefanek tupiąc nogami ze złości. — Tyle razy prosiłem cię, abys mu dawała jeść!... Poczekaj, odpłacę ci za to!

Groźba ta oburzyła Helenkę.

(d. c. n.)

REBUS.



ZAGADKA.

Nie sądź nigdy byś był sam,
Bo ja zawsze z tobą;
Gdzie się ruszysz, tu czy tam,
Wiedziesz mię za sobą.

Obraz młodych twoich lat
Ja ci chętnie daję —
Wszystko czem cię darzył świat
Ubarwię, umaję.

Lecz i życia twego trud
Łez gorzkich, boleści
Jak przez wielki jaki cud
We mnie się też mieści.

Cierpień dawnych ostry miecz
Z rąk mych znów cię krwawi,
I nie ujdiesz od nich precz,
Chociaż cię ból dławi.

I złączeni tacy wraz
Wciąż dążym za sobą,
Bo mnie nawet zębu czas
Nie rozłączy z tobą.

ŁAMIGŁÓWKA KRATKOWA.
od Jaskółki dla czarnej Perełki.

1	a	Zapełnić 9 kropek literami w ten sposób, aby rząd oznaczony literami: a, b, c, d, e, f, g, h, i, złożył nazwę wyspy, kres pierwszej podróży Kolumba. Znaczenie wyrazów: 1. Nazwa alfabetu starożytnego. 2. Miasto
2	b	
3	c	
4	d	
5	e	
6	f	
7	g	
8	h	
9	i	

w Mongolii w pobliżu Muru chińskiego. 3. Miasto tureckie na zachodnim brzegu Azji. 4. Narzędzie do mierzenia zawartości tlenu w powietrzu. 5. Miasto na półn. brzegu Afryki, założone przed Chr. 6. Miejsce ufortyfikowane w prow. Baku, w okolicy którego wydobywa się gaz z ziemi, używany przez mieszkańców do gotowania. 7. Nazwa jednej połowy N. Zelandyi. 8. Roślina, z rodziny trędownikowatych rośnie u nas na piasku. 9. Miasto w gub. wileń.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 46-go.

Szarady: Łaska — Łaska — Maską.

Zadania konikowego:

Ile kto ma cierpliwości,
Tyle ma mądrości.

Łamigłówni sylabowej:

1. Odyssea. 2. Kameleon. 3. Tarent. 4. Apollo. 5. Wulkan. 6. Iloci. 7. Aru. 8. Ninus. 9. Irtysz. Oktawian i Antoniusz.

Skrzynka do listów.

P. K. K. Myśl wyrażona w zakończeniu przysłanej nam powiastki jest piękną, sama wszakże powiastka, jakkolwiek napisana gładko, nie liczy się do rzędu tych, przy oddawaniu których do druku mogą się stawić warunki, bo należałoby w niej niektóre ustępy przerobić. Tłómaczeń w ogóle dajemy bardzo nie wiele i mamy już zajmujące się tem osoby.

P. J. R. w Boguszynie- Ostatnie wiersze poprzedniej odpowiedzi stosują się do tego, o co pani nas zapytuje.

Kochana Czarna Perełko, poruszasz w liście swoim kwestyę niezmiernie wielkiej wagi, której rozwiązanie zaprzęta najpoważniejsze umysły. W samej rzeczy, z humanitarnego punktu widzenia, wojna jest jedną z największych klęsk i zapewne kiedyś, gdy się podniesie poziom moralny ludzkości, zniknie z powierzchni cywilizowanego świata. Zaprzeczyć się jednak nie da, że tej to właśnie klęsce zawdzięcza poezya natchnienie, pod wpływem którego powstały najwspanialsze jej utwory: epopee. Posiadają ją wszystkie prawie narody starożytne a zawsze jest ona *bohaterką*, to jest opiewającą wojenne czyny tak ludzi jak i bogów, których udział w akcji pozwala zaliczyć epopeę do rzędu *mitycznych*. Takimi właśnie bywają pierwotne: u Greków Iliada i Odyssea, u Hindusów Mahábhárata i Ramayana, u Zendów Szach-Name, u Finnów Kalewala, u Germanów Gudrun i Nibelungi, u Skandynawów Sagi, u Czechów Sąd Libuszy i pieśni zawarte w rękopisie

Krółodworskim. Wszystkie one czerpią treść swoją z młodzieńczej doby życia narodów i odtwarzają w pieśni to, co dawno już istnieć przestało lub istniało jedynie w fantazyi ludu. Epopee, powstałe u narodów, stojących już na wyższym stopniu rozwoju cywilizacyjnego — epopee historyczne — także wojnę biorąc za przedmiot i z wojowników bohaterów sobie czyniąc, apoteozą wojny są niejako. A teraz przechodzę do odpowiedzi na drugie twoje pytanie: „czy organizatorowie Kolonij letnich stale już pamiętają o potrzebach dzieci, które w lecie na wieś wysefali”. Nie, moja droga czynić tego nie są, i tu właśnie otwiera się ofiarności dobrych serc niezmiernie szerokie pole. Dzieci, które z pobytu na wsi korzystały, są po większej części dziećmi ubogich rodzin; wróćą odżywione, wzmocnią się na siłach, ale pomimo to troska o zaspokojenie ich potrzeb nie przestaje ciążyć na sercu rodziców. Wyżywić je trzeba przez zimę i odziać, a to dla ubogich najcięższy ze wszystkich wydatek. Kto więc teby potrzebie dzieci zadość uczyni obdarzając je znośnym już ubraniem, ten spełni prawdziwie dobry uczynek, ułatwi bowiem tym biedactwom chodzenie do szkoły lub zajęcie się jakąś pracą, chociażby małutki ale pożądany dochód przynoszącą. Odpowiadam Czarnej Perełce, ale do serc wszystkich siostrzyczek moich, do serc waszych także, starsi i młodszy braciszczowie, odwołuje się wszystkim wam z serca sprzyjająca.

Gołąbka.

Nie jestem ja tak uczonym, za jakiego mię masz *Imienniku*, zdaje mi się jednak, że się nie omyłem nazwawszy *twoją* odpowiedź dobrą. Przechodzę myślą cały wiek XIV i nie widzę w nim potężniejszego monarchy nad Karola IV. Mianowany cesarzem przez przeciwników Ludwika Bawarskiego, dopiero w rok potem, po nagłej śmierci Ludwika, wstąpiwszy na tron, otrzymał od papieża koronę cesarsko-rzymską, po ojcu zaś odziedziczył czeską. Oprócz tego, to przez związki małżeńskie, to dzięki swej zręczności dyplomatycznej, to wreszcie drogą kupna, nabywał kolejno: Marchię Brandenburską, Luzacyę, księstwo Świdnickie i Śląsk, posiadał więc ogromną przestrzeń: od granic Austrii do brzegów morza Bałtyckiego. Chociaż zarzucają mu Niemcy opieszałość w sprawach Cesarstwa, Czesi jednak sławią pamięć jego, i w ogóle zdaje mi się, że Edward III nie może wytrzymać z nim porównania. Wiem to, że z charakteru i z waleczności pozyskał sławę pierwszego w Europie rycerza, że znosić nie mógł lenniczej zależności od królów francuskich, że okrył się sławą wojenną.

Pokonał Dawida Bruce'a i zmusił go do złożenia sobie hołdu, ale zwycięstwa jego nie wiele przyniosły Anglii korzyści, a zdobyte ziemie francuskie zostały mu odebrane, tak, że w końcu posiadał tylko na lądzie stałym trzy miasta: Calais, Bordeaux i Bayonne. Bardzo to dobra zabawa takie zadawanie sobie pytań historycznych, na które dać trzeba wymotywowaną odpowiedź. Umysł pracuje wtedy z niesłychaną szybkością, żeby sobie w mig wszystko przypomnieć a taka gimnastyka na dobre mu chyba wychodzi. I ja też przeskakuję od przedmiotu do przedmiotu aby odpowiedzieć *Marynarzowi*, że chociaż w XII podobno wieku odkrył tę własność magnezu, iż jednym końcem zwraca się ku biegunowi kuli ziemskiej, to jednak dopiero w r. 1300 Flavio Gioja, rodem z miasta Amalfi, osadził magnesową iglicę na trzpieniu, urządził pod nią obwód koła, podzielony na 8 części (N. O. S. W. N. O. S. O. S. W. N. W. jednym słowem zrobił kompas, którego wynalezienie stanowi epokę w żeglarstwie. Kto wie, czy bez takiego udoskonalenia żegluga, odkrytąby została droga morska do Afryki około Indyj oraz do Ameryka, gdzie projektowaną jest na rok przyszły wystawa, niezmiernie zajmująca umysły całego świata. Coś słyszałem, że Gołąbka pisać ma do was o dywanie, który stąd idzie na wystawę do Chicago, oraz o szczególnych jakichś szachach, mających towarzyszyć dywanowi; opiszcie to ona niezawodnie piękniej niżbym ja potrafił, bo ja jestem tylko od odpowiadania na pytania, wchodzące w zakres przebytych już przemień kursów. Wierście mi, koledzy, że czynię to zawsze jak najchętniej w dowód szczerzej koleżeńskiej życzliwości.

Józio.